

Między chaosem rzeczy a rytmem formy

Zacznę od tego, że Piotr Michałowski okazał się dla mnie poetą nieuchwytnym, i to bynajmniej nie w metaforycznym znaczeniu tego słowa: otóż dostanie w księgarniach jego najnowszego tomu wierszy było niezmiernie trudne. Właściwie trzeba powiedzieć, że, mimo iż ten świetny szczeciński twórca zadebiutował jako liryk już w 1984 roku *Poematem w czerwieni*, nadal pozostaje mało znany szerszemu gronu czytelników. A niesłusznie! Mamy teraz okazję przyjrzeć się jego piątej z kolei książce poetyckiej, pod tytułem *Rytmy albo wiersze na czas*. W poprzednich tomach (zwłaszcza w *Głosem prawie cudzym*) Michałowski zdążył nas już przyzwyczaić do nieskrywanej pasji stylizacji i pastiszów. Dlatego ów intertekstualny żywioł nie dziwi również w jego najnowszym zbiorze wierszy. Tym razem jednak autor postanowił jeszcze mocniej przemówić głosem minionych pokoleń, sięgając między innymi po sonet (w najstarszym, włoskim modelu – *Koleje czasu*) i oktawę (*Szczelina czasu*). Z pewnością świadczy to o biegłej znajomości poetyckich technik. Wypada jednak zapytać, czy pisanie dzisiaj w taki sposób (mimo że nie całkiem serio) nie jest anachronizmem? Poeta świadomy możliwych pomówień o epigonizm, sam formułuje ten problem:

„Zapytasz po co i czy to ciekawie
Znużonej formy tak zajadle bronić:
Lawinę czasu zamykać w oktawie,
Kluczem łabędzi i skrzydlatych koni”¹.

Właśnie owo zagadnienie formy poszczególnych tekstów, jak również kompozycja tomu jako całości, wydają mi się szczególnie istotne w *Rytmach...* Cały zbiór jest przecież doskonale przemyślaną konstrukcją, precyzyjnie rozplanowaną, również pod względem edytorskim: wymowne

¹ P. Michałowski, *Szczelina czasu* [w:] Idem, *Rytmy, albo wiersze na czas*, Bydgoszcz 2007, s. 48. Cytaty z omawianego tomu lokalizuję w tekście. W nawiasach podaję numery stron.

fotografie w czarnobiałej tonacji stanowią jednocześnie estetyczny ozdobnik i obrazowy konkret. Czytelnik ma przed sobą niewątpliwie książkę o wyrazistych ramach – otwarcie i zamknięcie tomu to bowiem *Modrzew III* i *Modrzew IV* – wiersze korespondujące ze sobą, jak również odsyłające do pozostałej zawartości zbioru. Ponadto każda z czterech większych całości – cykl sonetów *Koleje czasu*, poemat *Szczelina czasu*, *Haiku z wakacji* oraz *Piosenki bez muzyki* – poprzedzona jest pojedynczym tekstem ikonicznym. Zatrzymując się chwilę przy tym ostatnim gatunku: u Michałowskiego wiersze te są niejako rejestracją procesu twórczego, którego poszczególne etapy oddają zarówno tytuły tekstów (*Jeszcze*, *Intermedium*, *Pełnia*, *Próżnia*, *Już*), jak i ich uporządkowanie graficzne. Co ciekawe, ta poezja wizualna także buduje kompozycyjno-tematyczną klamrę tomiku: wszystko, co pojawia się w przedstawionym świecie poetyckim, mieści się pomiędzy *Jeszcze* a *Już*. Odbiorca zatem łatwo zorientuje się, że w tej właśnie opozycji zawarte jest sedno zainteresowań Michałowskiego, a więc problem czasu. Oczywiście taki wniosek nasuwa już tytuł omawianego zbioru. Chciałabym jednak zwrócić uwagę na pierwszą jego część, czyli słowo „rytmy”. Moim zdaniem to przede wszystkim rytmiczność jest nadrzędną zasadą organizującą tomik. Jakich rytmów nie znajdziemy w tym zbiorze? Po pierwsze – patrząc na poziom formalny, mamy tu sonet, poemat, haiku, piosenki – to wszystko utwory silnie zrytmizowane. Po drugie – biorąc pod uwagę semantykę – pojawia się wiele porządków podlegających swoistej rytmizacji: natura, historia, cywilizacja i sztuka. Wydaje się zatem, że „ja” poetyckie, mimo że niejako zawieszony w obrębie zróżnicowanych wymiarów istnienia, przebywa ciągle w jakimś układzie powtarzalnym i miarowym (24 sonety – doba, 60 części poematu – minuta, itd.). Myślę, że szczególnie interesująco pobrzmiewa wątek „przyrodniczy” – głównie w obu *Modrzewiach*. Dla przypomnienia dodam, że wiersze te są kontynuacją z tomu *Za czarnym wielokropkiem*. Otóż *Modrzew III* wydaje się określać pewną specyficzną relację między naturą, a porządkami będącymi dziełem rąk ludzkich (historia, kultura,

cywilizacja). Owa relacja polega na tym, że ład natury jest pierwotny, a twory człowieka są wobec niego wtórne i zależne. Jednakże poszarpana, dysharmonijna składnia tekstu odzwierciedla swoistą chaotyczność przyrody. To istota ludzka narzuca naturze jakieś znaczenie i porządek, gdy tymczasem równowaga i celowość są jej obce. Podobnie dzieje się z czasem, który próbujemy dzielić na daty ważne i mniej ważne czy poddawać wartościowaniu. Z kolei *Modrzew IV* przybiera już postać regularnego sonetu, gdzie poszczególne dysonanse mają swoje miejsce:

„Gdy pytam o to samo co każdy: kim jestem?

I nie wiem: ciałem, słowem, kształtem, cieniem, gestem

- Zaufać wolę mistrzom konceptu baroku” (s. 83).

Myślę, że właśnie o to przede wszystkim chodzi. Michałowski jest dla mnie nie tylko doskonałym architektem poetyckim, lecz także twórcą walczącym z dysharmonią świata za pomocą harmonijnej formy. Przeprowadzane wciąż na nowo oglądy rzeczywistości z różnych perspektyw czasoprzestrzennych owocują bowiem nadmiarem szczegółów, rejestrowanych za pomocą długich enumeracji. Okazuje się, że język nie może oddać bogactwa nawet jednej minuty, owej *Szczeliny czasu*, bo rzeczy wymykają się obserwatorowi i słowo zawsze spóźnia się z relacją. Jednocześnie to w języku tkwi moc sensotwórcza, jest on w pewnym stopniu zależny od podmiotu, ale w dużej mierze chodzi tu o „samonapędzające się pisanie”. Przypominają się być może psychoanalityczne eksperymenty automatycznego zapisu z początku wieku XX-ego, jednak w tym przypadku trop wydaje się błędny. Na straży pustego wielosłownia stoi bowiem rygor tradycyjnej formy, dzięki której poeta sam zmusza się do uporządkowania myśli, a nawet zarysowania swoistej konkluzji w przypadku sonetu. Zwycięża zatem trudna harmonia i budowana z fragmentów spójność rzeczywistości. Ponadto mam wrażenie, że z tą tendencją w świecie poetyckim Michałowskiego współgra bardzo wyraźna potrzeba

konstruowania jasnych granic, często na zasadzie opozycji. Staje się to widoczne szczególnie w *Kolejach czasu*, gdzie ciągle przewijają się kontrastowe określenia czasoprzestrzeni, wyróżniane dużą czcionką: TU – TAM, ZNIKĄD – DOKĄD, BLISKO – DALEKO, NAD – POD, TERAZ – POTEM. Dzięki takiemu zabiegowi świat okazuje się bardziej zrozumiały. W sonecie *Równanie* zbliża się nawet do geometrycznego ideału, którym jest kula (Ziemia). Zresztą z pewnością nie przypadkiem poeta sięga często do metaforyki przyrodniczo-matematycznej. Jednak samookreślenie w tak zarysowanej rzeczywistości nie należy wcale do zadań prostych. „Ja” skazane jest na bycie POMIĘDZY, bowiem ciągle przemieszczanie się uniemożliwia jakieś trwałe zakorzenienie:

„Wciąż TU się unieważnia, a urasta DOKĄD,
Co w prostym lśnieniu równaniu połączy się ZNIKĄD” (*Tor*, s. 11).

Jeszcze dobitniej rzecz ujmuje tekst *Sleeping*:

„Mnie nie ma w retrospekcjach, nie ma mnie w prognozach,
Ja czekam na swój seans, ja błędzę przed kinem
I tylko wiem, że nie wiem, czy jestem, bo płynę,
Czy to mnie wyodrębnia, że muszę być POZA...” (s. 27).

Taki skrajny wariant, w sensie doświadczania sfery tego, co międzyludzkie, jest jednak nierealnym pragnieniem: w *Przedziale* podmiot akcentuje niemożność bycia osobnym i zbudowania własnego wszechświata. Wydaje mi się, że „ja” skazane jest niejako na uwięzienie w przestrzeni cudzych głosów, co nie zawsze musi mieć negatywny wydźwięk, może przecież niwelować poczucie obcości.

To całe oswajanie zawilości świata przez sięganie do tradycyjnych rozwiązań, owo urządzenie jutra przy pomocy wczoraj (*Bagaż*), uruchamia cały szereg literackich aluzji, między innymi do Norwida, Mickiewicza, Leśmiana,

Tuwima, Wierzyńskiego. Każdy z tych głosów jest cenną wskazówką do nawiązania dialogu: Michałowski – X. Jednak czytając *Rytmy...*, myślałam przede wszystkim o poezji barokowej i sędzę, że jej zmagania z otwartością świata, nieskończonością i przemijaniem patronują niejako autorowi w omawianym tomie wierszy. Oczywiście już sam tytuł książki poetyckiej odsyła do sonetów Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego. *Koleje czasu* w tym kontekście są alegorycznym obrazem ludzkiej kondycji, a przede wszystkim bycia człowieka w czasie. Może nawet w tle czai się metafizyka? Myślę, że pomimo obecności szczegółowych obserwacji, miejscami wręcz reportażowych, w przeciwieństwie na przykład do *Prozy transsyberyjskiej kolei* Blaise’a Cendrarsa, konkret ulega u Michałowskiego ciąglemu rozmazywaniu na rzecz poetyckiego uogólnienia. Dodatkowo status podmiotu-podróżnego konstruuje klasyczną sytuację ciągłego oczekiwania na dworcu, na peronie, w przedziale... Michałowski prezentuje się nam jako poeta szczególnie wrażliwy na paradoksalność owego ruchu w bezruchu. Interesuje go nie tyle antynomiczność statyki i dynamiki, ile ich swoista symbioza. Podobnie jest tu z czasem, na który, co ciekawe, nie patrzy się z perspektywy wielkiej przemiany lub powrotu rzeczy, większą wagę przykładają się migawkowość „międzyczasu”, zwykle pozostająca poza naszą refleksją. Dlatego mowa o „wykolejonej chwili”, której „miało nie być” (*Postój*), a w odniesieniu do tradycyjnego sposobu periodyzacji: *Przeszłość, Teraz, Przyszłość, Wieczność*, zaskakuje nas świadomość, że w gruncie rzeczy, żadne z tych pojęć nie istnieje w sensie rzeczywistym, a „ja” nigdy nie może do nich w pełni przynależeć. Czas terażniejszy bowiem wciąż przechodzi w przeszły, a jednocześnie otwiera się na wizje przyszłości. Z kolei wieczność przekracza jakiegokolwiek zdolności wyobraźni, w konsekwencji więc „bardziej rzeczywiste będzie nieistnienie” (*Przeszłość*). Sędzę, że uprawnione byłoby nawet stwierdzenie, iż podmiot Michałowskiego oscyluje na granicy bycia niejako połowicznego, bo opierającego się przede wszystkim na oglądaniu i

słuchaniu świata, a nie jego dotykaniu, nie ma tu możliwości pozostawienia trwałego śladu:

„W dzienniku tej podróży brak odcisku buta.

A stopy brzmią w wagonie: STAMTĄD słyhać TERAZ.

Kulejący anapest, jamb, trocheju dwutakt” (*Ślady*, s. 24).

Jednocześnie nawet wzrok nie gwarantuje pewnej wiedzy o rzeczywistości, często bowiem gubi się w meandrach złudzeń i pozorów, które przekłamują właściwe proporcje między rzeczami (*Równanie*) lub eksponują jedne elementy, a inne pomijają (*Światła, Cienie*). Dodam przy okazji, że sonety *Koleje czasu* dostarczają świetnych przykładów poetyckiego operowania światłocieniem, wydobywającym subtelne kontrasty rzeczy. Można nawet powiedzieć, że światło we wszystkich odmianach (słońce, lustrzany połysk szyby, blask wieczornych latarni) jest głównym narzędziem konstruowania obrazu:

„Wygasły krajobrazy i stało się ŚWIATŁO

Jak gdyby ŚWIAT się cofnął w pierwszy dzień Stworzenia,

Lecz płaskie konstelacje w ruchomych zbliżeniach,

Spisane szyfrem punktów, mają rzeczy za TŁO” (*Światła*, s. 25).

Przestrzeń Michałowskiego rysuje się zatem całkiem interesująco, szkoda tylko, że „ja” wydaje się mimo wszystko mało widoczne, niejako ukrywa się za maską kogoś w rodzaju *everymana*. Oczywiście, jeśli chodzi o haiku jedność opisującego i opisywanego jest niejako programowa. Mimo wszystko, myślę tak, gdyż sfera doświadczeń podmiotu nosi silne znamiona uniwersalności: przemijanie, śmierć, wolność wyboru, która okazuje się złudzeniem i drogi nie zawsze prowadzące do celu – to problemy z katalogu tych najważniejszych, ale chyba są tu za mało zindywidualizowane.

Niewątpliwie taka postawa jest świadomą kreacją poety, pragnącego być może pozostać pomiędzy tym, co wewnętrzne, emocjonalne i własne, a wyważoną rzeczywistością zewnętrzną. W *Szczelinie czasu* podmiot wyznaje przecież wprost:

„Tonę pod setnym dnem autoportretu” (*Szczelina czasu*, s. 58).

Jakkolwiek by jednak nie myśleć o takiej strategii poetyckiej, z pewnością rytmy w *Rytmach...* mają silny związek z ludzką przestrzenią wolności. Wyraźnie widać to w cyklu piosenek, których wspólnym mianownikiem jest ucieczka od poczucia zniewolenia – zarówno tego politycznego (*Symfonia ze starego świata...*), osobistego (*Sen Osipa Mandelsztama*, *Krótką historią jazzu*), jak i egzystencjalnego (*Podróż*). Szczególnie ciekawie relacja ta wygląda w przedostatnim ze wspomnianych tekstów, gdzie jazz jako muzyka wywodząca się z obrzędowych tańców murzyńskich, staje się powiewem wolności na amerykańskim lądzie.

Dążąc powoli do jakiejś konkluzji, można by zapytać, czy zamknięcie świata w rygorze formy to nie naiwna wiara w ocalającą moc poezji? Epoka literacka, w której przyszło nam żyć, sytuuje się z pewnością daleko od takich rozwiązań, woli trwać w rzeczywistości potencjalnej, gdzie wszystko się może zdarzyć i nic nie jest z góry przesądzone. Dlatego, tym bardziej, tom Michałowskiego zasługuje na cierpliwą lekturę i niewątpliwie zostanie zauważony, i doceniony zarówno przez znawców, jak i po prostu miłośników poezji.

□ Piotr Michałowski, *Rytmy, albo wiersze na czas*, Margrafesen, Bydgoszcz 2007